

Lukasz Derda

Przyśpiewki dokonanej śmierci

Jakkolwiek nie trąciłoby to makabreską, wydaje się, że śmierć jest jednym z najważniejszych czynników kulturotwórczych. Od ceremonii pogrzebowych czasów neolitu, poprzez średniowieczne dance macabre, aż do obecnej, obracającej się wokół nietrwałego ludzkiego ciała kultury ponowoczesnej, śmierć jest podmiotem, motywem i głównym rozgrywającym kultury. W ten nurt wpisuje się również drugi tomik krakowskiego poety, „Nekyja” Marcina Siwka. Sam tytuł wydanej w 2006 roku przez „Bibliotekę Studium” książki tłumaczy się jako „ofiara składana zmarłym w celu wywabienia ich z Hadesu”. Czytelnik nie powinien mieć wobec tego wątpliwości, wokół czego krążyć będzie tematyka zawartych w tomiku wierszy.

Poeta unika w „Nekyji” rozległej, na pół prozatorskiej frazy, która bije obecnie rekordy popularności wśród młodych, rodzimych poetów. Autor nie kieruje się również ku neolin-

gwistycznym eksperymentem. Teksty tomiku napisane są natomiast białym, „rózewiczowskim” wierszem. Każdy, kto choć troszeczkę wgłębiał się w tajniki „ars poetica”, wie jak specyficzną jest wybrana przez poetę forma. Wersy w takiej lirycy zawierają zaledwie parę słów (nierazko dosłownie chodzi tu o parę), co w konsekwencji wymaga umiejętności ważenia i kondensowania poetyckiego obrazu, by uzyskać zadowalający efekt. Nieadekwatna metafora lub nawet nieadekwatny temat wprowadzają tekst na mielizny grafo-manii. Przykłady takich tekstów są na tyle liczne, że nie warto ich podawać. Siwek, pomimo że nie posiada silnej, „mistrzowskiej” frazy Rózewicza czy też Herberta, unika banału charakterystycznego dla poezji naśladowanej dokonania wymienionych poetów.

Wybór tej, a nie innej formy, w połączeniu z tematyką wierszy wprowadza jakby głos poety w inny wymiar. Widoczne jest to w graficznej formie utworów. Przez oszczędność w

słowach i częste przerwy między wersami na kartkach książki biel dominuje nad czernią druku. Można traktować to jako swego rodzaju transpozycję przewagi ciszy nad słowem podczas rozważania tajemnicy śmierci. Wielomówstwo zdaje się na nic, gdy stajemy przed mostem na drugą stronę.

Oszczędność i ostrożność w ważeniu słowa widoczne jest w nowatorskiej wersyfikacji pojawiającej się w tekstach Siwka. Niektóre z tekstów posiadają oddzielne wersy, jakby „boczny tor”. Tor ten złożony jest ze słów, które wydają się nie być dla spójności wiersza obowiązkowe. Jako przykład może posłużyć tutaj wiersz „Preludium” (str. 37). Łatwo można zauważyć, że wiersz mimo redukcji słów pozostaje jednością. Trudno stwierdzić, jak bardzo jest to zabieg przez autora zamierzony, jednakże w większości wypadków brak drugiej linii nie wpływa znacząco na odbiór tekstu.

Jak już zostało wyżej wspomniane, tematem tomiku Siwka jest śmierć. Nie

jest to jednak doświadczenie śmierci własnej. Jest to raczej śmierć z punktu widzenia obserwatora, biorąc jako trop profesję autora, śmierć z jaką styka się na co dzień lekarz – śmierć „pacjenta”, „innego”, osoby nie będącej z nami w bezpośredniej relacji. Podmiot liryczny nie pragnie utożsamić się z opisywanym. Zamiast tego, dzięki poezji, przywraca do naszego świata cieniowych, co odeszli. Taka jest zresztą istota nekylji. Nekyja nie jest ofiarą – o kazaniem czci dla duchów przodków. Jest bardziej spirytystyczną transakcją, opłatą by na moment zobaczyć, to, co z reguły zakryte.

„Nekyja” w odniesieniu do wierszy krakowskiego lekarza może mieć dwój- jakie znaczenie. Można traktować to jako fizyczny odpowiednik ofiary. W takim wypadku trud napisania wiersza, czy też tego materialna konsekwencja w postaci książki poetyckiej jest nekyl- ją. Ciekawiej i traf-
Dokończenie na stronie 2

w numerze...

Przyśpiewki dokonanej śmierci
s. 1, dok. s. 2

Dzień noc dzień noc...
śniadanie na Plutonie,
ale za to w hamaku
s.1, dok. s. 2

Boże, jeszcze żeby
to była prawda!...
s. 2

Jak przygotować pociechę do
pełnego odbioru „Imienia róży”
s. 3

Kontakt bez prądu
s. 2

Kłopoty Murzyna z białymi
kobietami
s. 2

Dzień noc dzień noc... śniadanie na Plutonie, ale za to w hamaku

Nowe miejsce, nowe możliwości, ale czy nowe horyzonty? W tym roku Wrocław stał się gospodarzem cieszyńskiego dotychczas festiwalu Era Nowe Horyzonty, organizowanego przez Gutek Film. Obawy nałogowych uczestników-karnetowców, którzy za festiwalem i tutaj przyjechali, dotyczyły głównie atmosfery wielkiego miasta, mogącego całkowicie wchłonąć i zniszczyć tę aurę, którą dawał Nowym Horyzontom mały, klimatyczny Cieszyn. Wrocław jednakże okazał się przyjazny. Usytuowane blisko siebie obiekty – Teatr Lalek, Mediateka, Opera Wroclawska, kino Warszawa, teatr muzyczny Capitol oraz wynajęty na potrzeby festiwalu Helios spełniły swoją rolę. Mam wrażenie natomiast, że uczestnicy festiwalu częściej gościli „po godzinach” w małych wrocławskich knajpkach niż

w najbardziej oddalonym Klubie Festiwalowym, usytuowanym w starym Browarze Mieszczańskim. Zabrakło też gościnnych cieszyńskich przedszkoli, gdzie dawniej młodzi festiwalowicze z całej Polski integrowali się przy daniach w 3 minuty czy nocnej herbacie. Co ciekawego na tegorocznym festiwalu? Zaskakująco dużą frekwencją cieszyły się retrospektywy mistrza Bergmana, Agnes Vardy czy Siergieja Paradzanowa. W jednym z seansów Bergmanowskiej „Persony” uczestniczyła wraz z publicznością aktorka Bibi Andersson (grająca w „Personie” postać pielęgniarki Almy), która wcześniej spotkała się z festiwalowiczami na konferencji prasowej w Cafe Argentino. Nie brakowało i innych spotkań z twórcami po seansach. Izabela Cywińska opowiadała o „Kochankach z Marony”

i swojej fascynacji Iwaszkiewiczem, Lisandro Alonso (reżyser pokazywanego rok temu „Los Muertos”) mówił o prywatnym widzeniu twórczości filmowej i współczesnym nurcie argentyńskiego kina... Ten nurt zresztą – bardzo minimalistyczny w formie, opowiadający często o problemach zwykłych ludzi - został przedstawiony w retrospektywie, ta zaś zakończyła się promocją wydanej właśnie książki o kinie argentyńskim pod redakcją Fernanda Martina Peny. Nowością w programie festiwalu był konkurs filmów polskich. Utrzyma- no dotychczasowy cykl konkursowy, „nocne szaleństwo”, filmy ubiegłego sezonu, „dokumenty/eseje”, „panoramę kina współczesnego”, „konkurs filmów dokumentalnych i animowanych”.

Dokończenie na stronie

Ewa Siuda

Lukasz Derda

Przypiewki dokonanej śmierci

Dokończenie na stronie 2

jest potraktować tytuł tomiku jako odnośnik do samego obrzędu. „Nekyja” Siwka wydaje się być inicjacyjną częścią tego rytuału. Większość wierszy stanowi niejako inwokację do duchów z którymi podmiot liryczny pragnie się skontaktować. Teksty w tomiku brzmią jak przywołujące zmarłych zaklęcia. Stąd może wynikać oszczędność frazy, skupienie się na słowach które ważą najwięcej, posiadając tym samym największą moc. Nie bez znaczenia są wtedy bohaterowie wierszy, osoby „przywoływane”. Siwek skupia się na śmierci dotykającej osoby młode, w absolutnym zenicie sił vitalnych (dowodem na to może być dedykacja „chłopczykowi, który leżał na metalowym stole.../a także innym umarłym”, czy też cykl wierszy poświęcony postaci mitycznego Narcyza). Przejście osób młodych ze świata od Hadesu to wydarzenie które zmienia najwięcej w, dążącym do równowagi, porządku blasku i cienia. Niewątpliwie jest to powód dla którego taka śmierć jest dla poezji śmiercią najwdzięczniejszą.

Jednym z pozytywnych aspektów wierszy zawartych w „Nekyji” jest ich duchowość. Zanurzeni w rzeczywistości, do której odnośnikiem jest wiecznie zmieniające się „tu i teraz”. Kontakt z poezją wykraczającą ponad to może być przywracającym właściwą perspektywę remedium nas tą sytuację. Poeta pisze w „Przypiewce Hermesa” (str.29):

oczy zalane światłem

*oczy
zalane materia*

Trudno o trafniejszą diagnozę naszej „ślepoty” na wieczność.

Marcin siwek w swoich wierszach często odnosi się do muzyki. Przywołuje on tym samym pamięć o czasach, gdy poezja i śpiew płynęły tym samym mistycznym nurtem. Muzykę znajdujemy w tytułach cykli („Barwy pasyjne”), tytułach wierszy („Intermezzo”, „Refren”). Centralnym miejscem tomiku jest cykl „Trzy studia głosu śpiewu”. Podążając tym śladem należy zwrócić

uwagę na dwa ostatnie utwory „Nekyji”, dwa akordy rozlewającej się po kościach fugi. Pierwszy ze wspomnianych utworów to kończące „Barwy pasyjne” „scensio” (łacińskie „wniebowstąpienie”). Drugim utworem jest będący jednocześnie codą tomiku „Iakchos” (przydomek wskazujący na Dionizosa jako niosącego blask jego ojca D(z)eususa). Zarówno w tekście odnoszącym się do Chrystusa, jak i do jego przedchrześcijańskiego przeczucia, pojawia się motyw śmierci której konsekwencją jest odrodzenie. Najwyraźniej widoczne jest to w końcowych wersach książki:

*poćwiartowany
w palącym świetle*

*na popiół dojrzewa
ostatecznie*

*rozszew swoje
szare ziarno*

(„Iakchos” str.67)

Owoc umiera będąc zarazem zasiewem nowego ziarna. Ziarno to jest „szare” – poddające się boskiemu prawu wzrostu, lecz pamiętające także dramat, który stał się fundamentem jego istnienia. „Nekyja” Marcina Siwka jest bezsprzecznie książką godną lektury. W dobie poezji miąkłej, eksploatującej po raz kolejny pozę „epatującego” podmiotu lirycznego, lub też wypranych z ludzkich odruchów językowych eksperymentów, „tradycyjna” poezja Siwka jest paradoksalnie świeżym powiewem wiatru. Na przekór tematyce tomiku należy stwierdzić że spokojny, namaszczonej oddech wiersza białego może poezji dać nowe życie. „Nekyja” tę tezę potwierdza.

Lukasz Derda

Marcin Siwek, Nekyja, Biblioteka Studium, Kraków 2006.

Dzień noc dzień noc... śniadanie na Plutonie, ale za to w hamaku

Dokończenie ze strony 1

W Ope-rze Wrocławskiej miłośnicy filmu niemiego uczestniczyli w seansach m.in. „Fausta”, „Świętoszka” czy „Nawiedzonego zamku” Murnaua, filmów Chaplina z muzyką na żywo (wykonywaną przez różnorodnych artystów: Kanał Audytywny, Manuela Göttschinga, Marię Peszek, Tymona Tymańskiego). Nie sposób nie wspomnieć o spektakularnym pokazie „Aleksandra Newskiego” z towarzyszeniem Orkiestry Filharmonii Wrocławskiej, kończącym festiwal.

Mam wrażenie, że od zeszłego roku filmy konkursowe coraz częściej uciekają w stronę nowatorstwa czy też minimalizmu formalnego; często zdarza się w nich „treściowa nuda”. Pomimo tego i w tym roku nie brakło prawdziwych objawień. „Hamaca paragwaja” paragwajskiej debiutantki Paz Enciny, mimo że złożona z dziewięciu statycznych ujęć i opatrzona dialogami z offu, działała hipnotyzującą siłą obrazu. „Vital” – kontrowersyjny, ale i piękny wizualnie obraz promowanego już wcześniej podczas Nowych Horyzontów Shinyi Tsukamoto. „Ziarno w uchu” – chińsko-koreański, oszczędny w formie i spokojny film, opowiadający historię zwykłych ludzi z prowincji. Część filmów w obrębie konkursu zdobywała zupełnie skrajne oceny krytyków i widzów – np. najnowszy obraz Moodyssona „Kontener” czy „Daft Punk Electro-ma”, stworzony przez muzyków z grupy Daft Punk, określanej przez krytykę jako „rozbudowany teledysk”. Największe uznanie publiczności festiwalowej zdobył, jak się okazało, chilijski film „Święta rodzina” Sebastiana Camposa (jego debiut pełnometrażowy), w dużej mierze improwizowany.

Panorama kina współczesnego była w tym roku jednym z najlepszych i najbardziej zróżnicowanych cykli festiwalowych. Nie brakło zarówno obrazów kontrowersyjnych i szokujących („Drawing Restraint 9” Matthew Barneya z udziałem Björk), pięknych muzycznie i wizualnie („Transylwania” Gatlifa, „Iberia” Saury), rozrywki w dobrym gatunku ze świetnym aktorstwem i muzyką („Pani Henderson” z Judi Dench i Bobem Hoskinsem, „Śniadanie na Plutonie” Jordana, „Dave’s Chapelle

Block Party” w hip-hopowym rytmie), trudnych tematów („Go West” Imamovica), paradokmentalnych filmów o zwykłych ludziach („Człowiek z budką” Bahraniego, „Pavee Lackeen” Ogdena). Moim osobistym odkryciem stały się Allenowskie w klimacie filmy Andrew Bujalskiego; zabawne, choć i odrobinę melancholijne portrety bliskiego reżyserowi środowiska młodych ludzi, pośród których i on sam się pojawia. Nie sposób pominąć również mistrzowskiej kreacji Cilliana Murphy’ego w „Śniadaniu na Plutonie” (aktor objawił się też wrocławskim widzom w ostatnim dniu festiwalu w zupełnie odmiennie roli w „Buszującym w jęczmieniu”, udowadniając doskonałość warsztatu).

Festiwal otworzył najnowszy, świetny film Almodovara „Volver”, w którym reżyser „Złego wychowania” powraca do tematyki kobiecej, rysując pełne ciepła i humoru portrety. Mocnym akcentem było także zamknięcie festiwalu – dramatyczny, opowiadający o żołnierzach IRA „Wiatr buszujący w jęczmieniu” Kena Loacha, nagrodzony Złotą Palmą w Cannes.

Entuzjastycznego przyjęcia doczekał się wyteściany przez fanów bollywoodzki film „Fanaa” w reżyserii Kunala Kohli (niebagatelne znaczenie miał fakt, że część zdjęć „kaszmirskich” była kręcona w polskich Tatrach). Obraz zachwycał kolorystyką, choreografią i muzyczną różnorodnością. Wielbiciele indyjskiego kina mieli w tym roku okazję obejrzeć w „nocnym szaleństwie” także filmy w języku tamilskim i telugu, odmienne w charakterze od bollywoodzkich, ale nie mniej widowiskowe.

Nowe Horyzonty rosną w siłę – więcej seansów, szerszy repertuar, więcej spotkań i atrakcji muzycznych. Wrocław stał się szansą na rozwój festiwalu, a i zaangażowanie wrocławian było widoczne przez te jedenaście dni. Trochę żal małomiasteczkowego klimatu, utraconej bezpowrotnie Lusi (starzy „wyjadacze” wiedzą, o czym mówię) i charakterystycznego dla Nowych Horyzontów kinowego odbioru, który nie na wszystkich seansach był w tym roku widoczny. Całe szczęście pozostał nadal zróżnicowany, dobry repertuar i panowie Nescafe w przerwach między seansami. Mam nadzieję, że przyjazny Wrocław stanie się z czasem Wrocławem prawdziwie nowohoryzontowym.

Ewa Siuda

Jak przygotować pociechę do pełnego odbioru „Imienia róży”

Grimpow. Sekret ośmiu mędrców” Rafaela Abalosa nijak ma się do „Kodu Leonarda” – a pod takim to hasłem jest na rynku wydawniczym reklamowany. Tak naprawdę to (wg dawnych standardów) „chłopcę” powieść fantasty-przygodowa o licznych wątkach historycznych. Świeża jak Mento... ups! - jak pewne cukierki do zucia, i równie popularna wśród młodzieży, o czym wiem dzięki wywiadowi środowiskowemu – iż rzeczywiście cieszy się wielką estymą. Dzięki podobnym badaniom quasi literackim wiem również, iż (jak zwykle) nie cieszy się podobnymi odczuciami u tzw. „prawdziwych” krytyków. Jak zwykle też nie rozumiem, dlaczego. Zasada „vox populi - vox Dei” sprawdza się niemal zawsze, więc dołączam do grona pozytywnych. Tzw. krytycy sami napinają atmosferę, zakładając „Grimpowowi” fartuszeki typu: „Hiszpańskie <Imię Róży>”. A tymczasem ta powieść naprawdę nie udaje niczego, czym nie jest. Nie predystynuje do podpisu „F. G. Lorca, Cervantes, czy J. Ortega y Gasset”. Czuje się za to, iż autor spełnił to, co zamierzał: zapewnić dłuższą (książka jest smacowicie gruba) rozrywkę, nie znudzić, trochę postraszyć, trochę zaciekawić, poślizgać się po historii i obyczajach, podzielać na wyobraźnię. I bingo!

Ach, i jeszcze najważniejsze: adresat. Sam autor powieści za pomocą różnego typu chwytów literackich zasugerował, kto też najwłaściwiej rozsmakuje się w jego dokonaniu twórczym. Otóż musi być młody, nawet bardzo młody, aby już na wstępie nie znudziły go wykorzystane w realizacji celu kalki literackie. Nie można bowiem ukryć, iż Abalos żongluje wszelkimi, już niemal niedozwolonymi chwytami literackimi, bo czyż zachował się jeszcze na tym cywilizowanym świecie ktokolwiek, kto nie zna historii, jak to dziewięciu ryc-

erzy-templariuszy znalazło w ruinach Świątyni Salomona Świętego Graala, czyli kielich Jezusa Chrystusa? Kolejny numer z broda: chłopiec z gminu, który podczas wędrówki dojrzewa do roli Maga/Wybrańca/Spadkobiercy (trzeba jednak pamiętać, iż dla młodego czytelnika to postać, z którą się chętnie utożsamia – jest równie zdziwiony sobą, zagubiony i spragniony wyjątkowości). I kalkujemy dalej: motyw podróży plus istny wysyp nieznośnie znanych wyrobionemu czytelnikowi przeciwników głównego bohatera. Fakt, że akcja dzieje się w średniowieczu, nieodmiennie sprowadza na karty książki dekorację w postaci murów zapuszczonego klasztoru. Mnisi mentor młodzieńca ma wręcz wypisaną mądrość i dobroć w oczach, a wielowiekowa tajemnica musi być połączona z motywem ukrywanej walki Kościoła z tajemnymi stowarzyszeniami...

Abalos jednak modyfikuje to i owo wśród owej pajęczyny kalek – przykładowo umieszcza w scenie inicjującej akcję powieści ciało, które samo topi się jak wosk i znika – podobny smaczek-modyfikację doceni dopiero starszy czytelnik. Co prawda ścierpły mu zęby przy odkryciu, iż całość dotyczy „pakietu możliwości” Graala, następnie zmierzila go zaszyfrowana wskazówka znalezionej pergaminu: „W niebie jest ciemność i światło. Aidor Bilbicum. Strasburg” i w końcu z pewnością obudziła się w nim myśl: „O, nie! Tylko nie katarzy, nie gnostycy i wycierpana do cna opozycja dobro-zło!” - ale kogóż za to nie ucieszy novum - stacja końcowa, jakże nowatorski Strasburg?...

Aby pozostać obiektywnym, trzeba zaznaczyć, iż fantasy Abalosa bynajmniej nie charakteryzuje się wdziękiem czy fantazją Harry’ego Pottera, jest wręcz rzeczą płytką i dość prostą, ale za to bez z góry deklarowanych pretensji do tandetnego nauczania realiów czternastego wieku. Ambitnego młodego człowieka tło historyczne

powieści wręcz rozczaruje, skoro tylko ów szkolny historyk-hobbysta odkryje, że tak naprawdę czyta lekko podrasowaną, zwyczajną „sensację dla młodzieży”. Niewątpliwym plusem jest za to strona graficzna kart powieści – i młode pokolenie, które ocenia świat obrazami, z pewnością da się wciągnąć w zaklęcie diagramów, symboli, rycin, szyfrów oraz rysunków astronomicznych. Do tego padają słowa: „tortury”, „sekrety”, „Arka Przymierza”, „inkwizytorzy”, „Safed-Trypolis-Damaszek”, są czaszki – setki czaszek wśród setek szturów w podziemnej krypcie klasztoru, jest też sekretna komnata z kłapą podłodzi i tysiącami książek biblioteki opactwa Brinkdom. Są elementy filozofii dla młodocianych i garstka dydaktyki, typu „jak zostać Wybrańcem” (do stosowania również dzisiaj: wystarczy „oddać się nauce i dążyć do zdobycia mądrości, aby osiągnąć wewnętrzną siłę zdolną odkryć prawdę o świecie”. Bardzo proste).

Jednak rzeczywiście, „drzwi wiodące do tego niewidzialnego, wspaniałego skarbu, dla wielu pozostaną na zawsze zamknięte”... – starszym czytelnikom ta książka przede wszystkim (a może wyłącznie?) świetnie wspomogła pamięć. „Grimpow” również w moim wypadku spełnił owo zadanie: wywołał we mnie nostalgię za klimatem czasów szkoły podstawowej, przywołując wspomnienie tzw. listy lektur szkolnych - poczułam się jak młodsza młodzież! To przyjemne uczucie – tak więc również przyjemnie przerzucało mi się kartki tej hiszpańskiej fantasty historycznej. Specjalnie piszę o przerzucaniu, gdyż nie ma mowy o smakowaniu, zacytowaniu czy zapamiętaniu się. Ale to moja wina – jestem po prostu na tę powiastkę za stara... Oczywiście, w pierwszej chwili do łez rozśmieszyła mnie scena, gdy w żaden sposób niekształcony chłopak o pochodzeniu, jak to się mówiło, robotniczo-chłopskim, w jednej chwili nauczył się czytać i pisać (w tajem-

nym języku) oraz zmienił sposób wyrażania się na górnolotny i pełny galanterii - ale po chwili zdrowego śmiechu przypomniałam sobie, że w swoim czasie (czytaj: dawniej) było to dla mnie cudownie-normalne. Przecież Grimpow stał się Wybrańcem Templariuszy! I końcowa zachęta: czytelnikom „w swoim czasie” lektura Abalosa da coś bardzo dobrego - jako że przykładowy 12-latek nie przebrnie przez „Imię róży”, a jeśli przebrnie, to tego nie doceni – niech zacznie od Grimpow, a z pewnością w przyszłości zechce zerwać i Różę. I o to chodzi. Polecam tęskniącym do klimatu dzieciństwa, polecam posiadającym „młodsze” dzieci, a przede wszystkim polecam gorąco dzieciom (podaj dalej)!!!
PS. Jako że dzięki Grimpowowi (Graalowi?) otrzymałam dar czytania w obcych językach, z rozkoszą wracam do klasyki chińskiej –
W ORYGINALE.

*Rafael Abalos,
Grimpow. Sekret ośmiu mędrców,
tłum. Maria Mróz,
Wyd. Philip Wilson,
Warszawa 2006*

Boże, jeszcze żeby to była prawda!...

Monika Szwaja jest coraz lepsza! Ośmiela się twierdzić, iż ze słabo obiecujących początków (ot, jedna z wielu „postgrocholi”) niestrudzenie rozwija się coraz bardziej intrygująca osobowość literacka, która serwuje czytelnikom naprawdę godziwe pozycje z gatunku literatury kobiecej. Do tego w tym miejscu prowokacyjnie NIE DODAM (gdyż nie jestem snobistycznym asekurantem), iż „co prawda nie jest to być może lektura dla filozofów i ludzi ambitnych”, ale... Właśnie, że nie! – po „Dom na klifie” spokojnie może sięgnąć i filozof, i zdesperowana gospodyni domowa, i ambitny urzędnik państwowy, i nastolatka, i duchowny, i kosmita... – i się nie zawiodą! Z racji, że autorka z książki na książkę modyfikuje swój warsztat pisarski i rozszerza kręgi tematyczne kolejnych powieści, polecana tu pozycja nie nuży stereotypowym ujęciem romansu - w standardowych okolicznościach, z szablonyimi bohaterami i papierową psychologią. A do tego ta historia ma głębię, dramatyzm oraz liczne motywy komiczne, metafizyczne i funeralne. Jak też dość urokliwie odniesienia do szant czy innych wytworów kultury żeglarskiej...

„Domnacliffe” to powieść o samotności, a raczej o jej nieskończonych obliczeniach. Socjologowie twierdzą, iż to stan niezbędny przy poszukiwaniu samoświadomości, czyli wspomagające skupienie w przebywaniu „siebie z samym sobą”. Swoiste rozdwojenie przy pozostaniu jednością, mikroschizofrenia, dlatego tak trudna do zniesienia, tak wymagająca, czasem nie do wytrzymania. Samotność po kimś, po czymś. Samotność w – domu, chorobie, nieatrakcyjności. Samotność z powodu... Ilu bohaterów „Domu na klifie”, tyle kolorów samotności. Przykładowo, Lena Dorosińska, samotna mieszkanka tytułowego domu na

klifie, to wbrew stereotypowi starszka szczęśliwa, choć stale stęskniona: za zmarłą przyjaciółką, za minioną młodością, za przybywającymi odchodzącymi przyjaciółmi. Tak czy inaczej, jej samotność epatuje smakiem „opły”. Bardziej porusza, a może i - gdyby się trochę powozuwać - przeraża samotność oraz poczucie bezradnej beznadziei u głównej bohaterki powieści, nieatrakcyjnej Zosi (młodej kobiety a starej panny w pełni tego słowa znaczeniu) z kompleksami, kłopotami rodzinnym, wredną dyrektorką, stadem nieswoich dzieci, nieszczęśliwą miłością, wrodzonym altruizmem i dobrym sercem. Zosina odmiana samotności (oczywiście) okazuje się budująca, gdyż to z niej wypływa stanowcza decyzja o „zrobieniu czegoś ze sobą i czegoś dla innych”, czyli pierwociny koncepcji rodzinnego domu dziecka. Z wielką delikatnością autorka zarysowała portrety wszelkich (nie do końca podobnych, choć wypływających z jednego źródła) odcieni samotności licznych postaci dziecięcych. Na uwagę zasługują: mały Adolf, napiętnowany imieniem, ojcem-pijakiem i seplenieniem o podłożu nerwowym (po prostu swoisty frontman i reklama chodząca wadliwego polskiego systemu opiekuńczego), młodzieńca Julka, na dobrowolnym samowyznaniu w swoim pokoju, pogrążona w oskarżeniach wobec przybranych rodziców w bezsensownym odwecie za porzucenie przez tych „prawdziwych”, Krzyś, który „nie miał złudzeń, bo nie miał nikogo”, czy Alan, który nic więcej nie chciał od życia oprócz psa. Trudno jest dobrze opisać podobne nagromadzenie samotności, prawdziwie, a bez kliwów patosu - i wiele z pozytywnych, o dziwo, autorek wpadło przy takiej próbie w szpony śmieszności. A przecież już sam tytuł książki Szwaji sugeruje

niebezpieczeństwo, po prostu ZBYT WIELE obiecuje, przywołując do prawdy niepokojący obraz... Na skale serc dwojga zagubionych ludzi stoi dom, górujący zwycięsko ponad morzem nieskończonym i zimnym, ponad północnymi wodami obojętności, zatwardziałości i prostactwa... – wizja uderzająca kiczem niczym jeleń na rykowisku! Autorka jednak wśród wszelkich raf żegluję z godną podziwu wirtuozerią. Co prawda, ktoś mógłby poczynić zarzut, iż sylwetki jej bohaterów sprawiają wrażenie celowego przerysowania - czyż jednak w powieściach typu społeczna love story tak być nie powinno? Tak więc w „Domu na klifie” nie jest śmiesznością, a strategią konwencji, gdy, przykładowo, główny amant powieści, Adam Grzybowski, ma czterdzieści lat i nadal jest „kawalerem przy straszliwej mamusi”, zaś powieściowa heroina to, co prawda, trzydziestodwulatka, Zosia, ale o nazwisku... Czerwonka. Z przerysowania załotnie błyskają do czytelnika motywy komiczne, a raczej tragicomiczne, gdyż to jedynie soczystość pióra autorki przysłańca wcale nie-literacką prawdę, taką, o której możemy przeczytać w każdej gazecie. Ale w powieści ona śmieszny, tumani i przestrasza – tak jak makabryczna dyrektorka domu dziecka o wdzięcznej nazwie „Magnolie” – i przełożona Zosi - Aldona Hajnrych-Zombiszewska, która rzeczywiście zachowuje się jak koszmarnie germańskie zombi. Bliźniaki Cyryl i Metody Plaskojć, zwane Cyckiem i Myckiem, wraz ze swą pretensjonalnie odpustową matką, Arletą, która nigdy „ich nie zabiera na Gwiazdkę”, ale „kocha”, więc „oskarża” opiekunkę o znęcanie się. Bartek Żaba, którego rodzice zginęli, a „babcia ma go w nosie”. Notorycznie bijący słabszych Remigiusz Maślanko wraz z drużyną

przybocznych. I na końcu, sama bidulowa rzeczywistość, powracający po latach koszmarny sen wychowanków domu dziecka, czyli ogólnie specyfika funkcjonowania państwowej instytucji społecznej – koszmarnie okrutne w swej atmosferze święta, codzienna mizéria plus zestaw małych patologii, stres porównań z dziećmi z „normalnych” domów, mikroszykany w szkole, osobny wewnętrzny świat wychowawców czy pracujących w kuchni kobiet, dziecięca filozofia ściganego zwierzątka – „prztylić się i zasnąć”. To wszystko jest po prostu dobrze opisane.

Ach, jest jeden gorzki element w tym całym słodkim przedsięwzięciu – pani Szwaja stworzyła piękną historię, która, niestety, w życiu się nie spełni! Nagroda temu, kto kiedykolwiek słyszał, aby młody mężczyzna z przyszłością zawarł (z powodu życiowego niespełnienia) białe małżeństwo z kobietą bez „dużych niebieskich oczu”, a za to z wielkim bagażem traum i przybranych dzieci na pododrodziu, aby stworzyć z nią rodzinny dom dziecka... Boże, żeby to tak było...! Ale nic to – dołączając już ostatnią zasłużoną pochwałę, stwierdzam, iż dodatkowym wielkim atutem powieści Moniki Szwaji jest BRAK całej listy chwytliwych elementów, typu: kicz w strefach komicznych, sentymentalizm w scenach miłosnych, czy tania kliwowość w wątkach dziecięcych. Nawet happy end powiewa świeżością (powiewa - bo jak to na klifie) – i zdecydowanie nie jest w odcieniu latynoskiej czerwieni, lecz w swojskiej, spokojnej barwie bzu... Ciepłe, z klasą i chce się wracać.

Monika Szwaja,
Dom na klifie,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2006.

Ada Romanowska

Kontakt bez prądu

Im dalej w las – tym więcej drzew. Im dalej – tym ciemniej. I tak też można powiedzieć o XVI Międzynarodowym Festiwalu KONTAKT w Toruniu (2006). Nie byłam tam po raz pierwszy i mam porównanie. Brakuje mi wielkich spektakli. Brakuje mi teatru, o którym można rozmawiać cały rok - aż do kolejnego KONTAKTU. Tak było chociażby w zeszłorocznym belgijskim (i zwycięskim) spektaklem „White star” grupy VICTORIA. A podczas tego festiwalu? Mówiąc kolokwialnie – nic nie powaliło. A szkoda – bo jechałam z wielkim apetytem. A tu głód dobrej sztuki. Szkoda.

Trochę historii. Festiwal powołuje do życia Krystyna Meissner. Cel niesamowity - zaprezentować dokonania twórców teatralnych z krajów Europy, ale też i spoza kontynentu. Po prostu – pokazać Polsce to, co najlepsze w teatrach świata. I to właśnie Krystyna Meissner po raz pierwszy przedstawia polskiemu widzowi Eimunstasa Nekrosiusa, Oskarasa Korsunovasa, Christopa Marthalera i Franka Castorfa. Nazwiska wielkie i wielkie przedstawienia. Jednak od 1997 roku – gdy miejsce Krystyny Meissner zajmuje Jadwiga Oleradzka, zaś dyrektorem artystycznym festiwalu zostaje

Andrzej Bubiń - toruński festiwal traci na swej mocy. Zauważyć można coraz mniej poszukiwań nowości, a coraz więcej sprawdzonych zespołów i reżyserów. Ba – w tym też tych komercyjnych. Ale może to wina samego teatru – czyli tego, co się w nim dzieje – albo nie dzieje? Jadwiga Oleradzka stwierdza przecież, że KONTAKT prezentuje zjawiska, które pojawiły się na europejskich scenach w czasie dwóch ostatnich sezonów. Jednak – jako że diabeł tkwi w szczegółach – problemem jest tu zły dobór festiwalowego repertuaru. Teatr na świecie ma się świetnie, powstają

niebanalne spektakle – z przyjemnością obejrzałabym chociażby szwajcarski Teatro Sunil i ich „Icaro” czy olsztyński Teatr Jaracza z „Milczeniem”, a nie sztuki, w których główne role grają celebryci, światła stroboskopowe, mikrofony - gdzie triumfuje kabaret... To nie w moim stylu, co nie znaczy, że innych nie może rzucać to na kolana. Każdy ma swój gust – owszem. I nie przekonują mnie słowa organizatorów, że tegoroczny KONTAKT to teatralna wypowiedź poświęcona problemom ludzkiej egzystencji.

Dokończenie na następnej stronie

Że widz – dzięki przedstawieniom – zada sobie pytania najistotniejsze w życiu. Owszem – widz zadaje pytań wiele, ale o stan teatru, o stan festiwalu. Nie dziwi więc, że pierwszą nagrodę zdobywa inscenizacja „Mewy” Teatru Kretaktor z Budapesztu odarta ze scenografii i kostiumów, składająca się z czystego aktorstwa opartego na metodzie Stanisławskiego, niemal pozbawiona muzyki. Dowodzi to tylko tego, że sztuka aktorska wciąż przeważa nad nowinkami technicznymi, że teatr potrzebuje człowieka z krwi i kości, a nie pikseli przelanych na porozwieszane wokół sceny płótna.

Dlatego rozczarowuje Jan Fabre, który na długo przed KONTAKTEM określany jest mianem głównego dania festiwalowego menu. Swoim „Aniołem śmierci” krytykuje współczesny świat ogarnięty obsesją katalogowania, archiwizacji – również ludzkiego ciała, często zniekształconego, co podkreślają obrazy z Muzeum Anatomii Uniwersytetu Montpellier. Rzeczywiście – obrazy ułomnego człowieka dają do myślenia, ale to za mało. Zwłaszcza w

zestawieniu z tekstem, który pretenduje do tego, by określać go poezją, ale tak naprawdę prawdziwej sztuki słowa nie można w nim znaleźć. Do tego w spektaklu brak uczuć. Przez godzinę widz słucha banałów, które dobrze zna i o które nie chce już pytać. Bo i po co? By pograć się w błędnym kole? Rozmowa dziennikarza z szatanem wystarczy. I Bóg zapłać, że nie jest prowadzona w konwencji tak modnego ostatnio talk-show. Chociaż – sam fakt wywiadu z diabłem może przypominać telewizyjną ekstazę. Ba – i te ekrany wokół, i aktorka w centrum uwagi (Ivana Jozic)... Na szczęście jej zawodowstwo nie okazuje się banalne. Zwinność ciała współgrająca z mimiką i każdym gestem zachwyca. Zadziwia wypracowanie każdego detalu, ale – może i coś w tym jest, bo diabeł tkwi przecież w szczegółach.

KONTAKT prezentuje – i to dosyć często – teatr litewski, który uznawany jest za „najlepszy produkt eksportowy” owego kraju. Tak też ma się z Rimasem Tuminasem – reżyserem, który za ubiegłoroczny „Madagaskar” otrzymuje II nagrodę. W tym roku wystawia „Trzy siostry”, ale okazują się one kumulacją znanych już publiczności chwytów.

Jednak nie można zaprzeczyć, że spektakl łączy w sobie niespełnienie, bezsens codzienności z żartem i humorem, który – niczym intermedium – wkrada się w dramat Czechowa i pobudza publiczność. Epizody wymyślone przez reżysera są rzeczywiście świetne i zachwycają pomysłowością (zwłaszcza zabawa wojska z poduszkami, które raz są okopami, a zaraz stają się czapkami à la Napoleon). To walor przedstawienia, który – owszem – można wspominać pijąc kawę po spektaklu, ale czy rzeczywiście może on świadczyć o „najlepszym produkcie eksportowym” Litwy? Niestety – reżyser zabiera spektaklowi Czechowa, a daje Tuminasa w nadmiarze, co tylko podkreśla, że egotyzm twórcy nie idzie nigdy w parze z teatrem, zwłaszcza z tym poświęconym ludzkiej egzystencji.

Jak podsumować KONTAKT? Koniec podobno wieńczy dzieło. I tu paradoks. Festiwal kończy się występem żenującego irlandzkiego teatru. „Nieprawdopodobna częstotliwość” jest rzeczywiście nieprawdopodobna – przypomina trochę sitcom, trochę musical. Widz w Polsce przyzwyczajony jest do innego rodzaju teatru – do sztuki, która mówi między wi-

erszami albo mądrze bawi. Po prostu. A tu? Błazenada. Aż przykro mówić. Zwłaszcza, że toruński festiwal jest dla mnie wydarzeniem wyjątkowym. Chociaż powoli zaczynam zmieniać zdanie. Mimo tego zdarzają się jednak perełki. I znów wspomnę Belgię i „White Star”, bo to spektakl na wieki wieków – chyba że spadnie jakiś teatralny meteor. Oby następnym razem! A w tym roku wielkie brawa otrzymuje spektakl „Letnicy” Akademickiego Teatru Dramatycznego z Omska w reżyserii Jewgienija Marcelego i „Słomkowy kapelus” Piotra Cieplaka (Teatr Powszechny) – sztuki co prawda komercyjne i bawiące się teatrem, ale trzymające widza w napięciu. A to już coś! Bo jeśli inaczej nie można – jest w takim teatrze metoda.

Nie ma co ukrywać - KONTAKT to po części gra w kółko i krzyżyk. Można powiedzieć - naturalne ryzyko od zawsze towarzyszy sztuce. Ale nie w tym rzecz, by liczyć na łut szczęścia – a nuż pojawi się na festiwalu teatr, który stanie się wydarzeniem, a nuż się uda i festiwal zostanie uznany za udany. Jest świetne powiedzenie, którego radzę się trzymać – przezorny zawsze ubezpieczony.

Tomasz Wojnarowski

Kłopoty Murzyna z białymi kobietami

Prowokujący tytuł powieści Dany’ego Laferrière „Jak bez wysiłku kochać się z Murzynem?” po lekturze utworu wydaje się nieodpowiedni, i wcale nie chodzi mi o wulgarność tego sformułowania. Pytanie postawione przez czarnoskórego pisarza, urodzonego na Haiti, a obecnie mieszkającego w Miami na Florydzie, powinno raczej brzmieć: „Jak bez wysiłku kochać się z białą kobietą?” Odpowiedź jest prosta: wystarczy być Murzynem. Ciąg skojarzeń przedstawia się następująco: czarnoskóry, Afryka, lud pierwotny, dzikie obyczaje, nieokiełznany seks. Gdyby ta motywacja komuś nie wystarczyła, warto też zwrócić uwagę na słowo „Murzyn”, jak najczęściej określa siebie i swoich towarzyszy narrator opowieści. Pachnie ono czymś brutalnym i zakazanym, a przez to dla młodej panny z czystego, purytańskiego domu, naprawdę podniecającym.

Studwudziesięstosonnicowa powieść Laferrière jest monologiem czarnoskórego mężczyzny, który vegetuje ze swoim dziwnym, żyjącym w ascetycznych warunkach przyjacielem, na przedmieściach Montrealu. Mężczyźni urozmaicają sobie wolne chwile słuchaniem jazzowych kawałków Charliego Parkera i Johna Coltraine’a, czytają Koran i Freuda. Najważniejsze jest jednak co innego. Główny bohater pisze swoją pierwszą książkę i podrywa kobiety przy każdej nadarzającej się okazji. Reszta go nie interesuje. Może żyć w chaosie, brudnym, śmierdzącym pokoju, żywić się przez wiele dni

ryżem, upijać się do nieprzytomności, ale nikt nie może mu odebrać pisania i kobiet, białych kobiet. To właśnie kontakty z nimi, najczęściej sprządzające się tylko do stosunków seksualnych, stanowią źródło inspiracji początkującego pisarza.

W sumie nic nowego. Czytając powieść Laferrière nie sposób wyzbyć się wrażenia, że ktoś już tak pisał. W książce aż zaudu odczuwana jest obecność Bukowskiego i Millera, by mówić o jakimś błyskotliwym pomysle. Historia początkującego powieściopisarza, który sypia z przypadkowo poznanymi kobietami została już wielokrotnie opowiedziana przez wspomnianych pisarzy, i co tu ukrywać, robili to znacznie lepiej.

Na szczęście Laferrière wprowadza nowy wątek do utworu. Są nim relacje między białymi a czarnymi ludźmi. Wcześniej mieliśmy nieudaczników, alkoholików, obcokrajowców, teraz w wersji Laferrière mamy nowego bohatera: czarnoskórego, Murzyna, który uprawiając seks z białą kobietą bierze tak naprawdę odwet za wieki niewolnictwa. Ludzi do łóżka przyciąga nie potrzeba okazywania sobie miłości, ale nienawiść. Białe kobiety splacają dług zaciągnięty przed wiekami, czarni mężczyźni dokonują rewanzu: „Murzyńska zemsta i białe wyrzuty sumienia w jednym łóżku to zapowiedź nie byle jakiej nocy!”. Konflikt rasowy zostaje przemieniony w odwieczny konflikt płci. Czarnoskóry kochanek nigdy jednak nie może być pewien, czy nie zostanie

„zinczowany” za to, w jaki sposób odnosi się do białej kobiety. Dlatego tak często bohater powieści Dany’ego Laferrière, spotykając w pubach czy księgarniach kobiety, musi wchodzić w rolę Murzyna, podrywacza, któremu wszystko można wybaczyć ze względu na „gorszy” kolor skóry. Murzyn jest tylko zabawką w śnieżnobiałych dłoniach swej pani, chyba że ta dobrowolnie poniży się przed swym niewolnikiem: „Na tym polega dramat w relacjach seksualnych Murzyna z białą kobietą: dopóki biała nie zrobi czegoś, co uważa się za poniżające, nie może być niczego pewien. Jako że w zachodniej skali wartości biała kobieta ustępuje białemu i przewyższa Murzyna. Dlatego prawdziwe spełnienie może osiągnąć tylko z Murzynem. Cóż w tym dziwnego, może z nim pójść na całość. Prawdziwa relacja seksualna musi być nierówna. Biała kobieta ma zaspokajać białego, a Murzyn białą kobietę”. Role odwracają się: niewolnica staje się właścicielką haremu czarnoskórych mężczyzn, którzy są gotowi spełnić jej każde życzenie.

Jest jeszcze jeden sposób pozwalający Afrykańczykowi wznieść się ponad swoją murzyńskość. Musi odnieść sukces – w przypadku naszego bohatera takim awansem społecznym jest publikacja powieści „Raj murzyńskiego podrywacza”, będąca autobiograficznym wyznaniem czarnego narratora. Po dobrym przyjęciu przez krytykę i sporym zainteresowaniu czytelników, dopiero teraz wszyscy zaczynają zwracać się do

pisarza per pan. Bohater zostaje jednak wyklęty z kręgu, w którym do tej pory przebywał. Zdradził tajemnice zależności między białymi kobietami a ich czarnoskórymi kochankami: wystarczy dziewczynie opowiedzieć o swych afrykańskich korzeniach, dzieciństwie spędzonym na sawannie, ojcu, który jest królem wioski, słowem odwołać się do swej pierwotności, by ta legła u stóp w ekstazie. „Takie jest przeznaczenie każdego pisarza, być zdrajcą”. Na koniec warto też zwrócić uwagę na jeszcze jeden problem - motyw twórcy zmagającego się z czystą, niezapisaną kartką w remingtonie 22. Na tle seksualnych podbojów głównego bohatera i towarzyszących im metafizycznych dygresji, wątek ten wypada znacznie słabiej. Mamy co prawda jakieś próby uchwycenia procesu tworzenia, na szczęście wszystko to zostaje potraktowane z przymrużeniem oka i nie przesadza się w niepotrzebny lament artysty nad niemocą tworzenia. To właśnie ów ironiczny dystans do relacji między białymi i czarnymi, do własnego pisarstwa i samej formy opowiadania sprawia, że powieść Dany’ego Laferrière czyta się dobrze.

*Dany Laferrière,
Jak bez wysiłku kochać się z Murzynem?,
przeł. Jacek Giszczak,
PIW,
Warszawa 2004.*